

- Autor: **Lemar Stefan**
- Tytuł: **Człowiek w samochodzie**
- Wydawnictwo: MON
- Seria: seria Labirynt
- Rok wydania: 1959
- Nakład: 50000
- Recenzent: [Marzena Pustułka](#)
- Recenzja: 61/2013

[LINK Recenzja Michała Lorka](#)



O niemiłym kelnerze i uprzejmej ekspedientce (między innymi)

Czytając kolejny raz książkę Lemara uświadomiłam sobie pewną myśl, która od dawna we mnie kiełkowała, ale jakoś nie mogła się skryształizować. Otóż uświadomiłam sobie, że najbardziej lubię milicyjne kryminały, w których śledztwo prowadzą amatorzy, z milicją lub policją w tle. Może to być dziennikarz (jak w „Chytry dwa razy traci”) , adwokat jak Ryszyński czy Donat, pisarz (jak Joe Alex), czy po prostu ktoś przypadkowo wciągnięty w zbrodniczą aferę i starający się ją rozwikłać. Nawet wśród książek Agaty Christie wolę te, w których zagadkę rozwiązuje panna Marple, a nie genialny Poirot, który często bywa nudnawy z tym swoim punktowaniem i porządkowaniem wypadków. Dlaczego tak się dzieje? Myślę, że chodzi o to, że taki detektyw – amator nie prowadzi nudnych przesłuchań, nie chodzi także na narady czy „operatywki” do pułkownika, na których bez końca powtarzane i analizowane jest to, co już doskonale wiemy. Śledztwo jest wtedy prowadzone spontanicznie, amator myśli po prostu po ludzku, a nie „zgodnie z zasadami kryminalistyki”, i dzięki temu często lepiej rozumie sposób myślenia przestępcy. Tak właśnie dzieje się w książce Stefana Lemara „Człowiek w samochodzie”. Młoda para studentów (on medyk, ona prawniczka) wracając z niedzielnej wycieczki za miasto przypadkowo natrafiają na stojący na poboczu samochód z wygaszonymi światłami. Chcąc ostrzec nieostrożnego kierowcę zatrzymują się i proszę – tu niespodzianka. W samochodzie odnajdują trupa. Trzeba oczywiście zawiadomić milicję ale najpierw przyszły przedstawiciel medycyny sądowej pragnie sam jak najwięcej dowiedzieć się o nieżyjącym mężczyźnie i okolicznościach jego śmierci. Bada wszystko dokładnie, w miarę swoich możliwości, i wiele rzeczy budzi jego niepokój i zdziwienie. W tym momencie Roman Ilecki zaczyna podejrzewać,

że zgon pasażera nie był naturalny, i oczywiście pragnie tę zagadkę rozwiązać. Wykazując się dużą inteligencją i przenikliwością, przy odrobinie szczęścia zaczyna wraz z narzeczoną prowadzić właśnie takie spontaniczne, amatorskie śledztwo, nie zdając sobie w sumie sprawy dokąd ich to zaprowadzi. Bardzo fajnie napisana rzecz, sprawa okazuje się dość zawikłana, jest kilku podejrzanych, kolejny trup, różne wątki śledztwa przeplatają się ze sobą, wcale nie łatwo natrafić na właściwy ślad. Wspólnymi siłami - młodzi plus sympatyczny starszy chorąży – detektywi wyjaśniają w końcu całą, dość skomplikowaną, mechanizm zbrodni. Jest też w tej książce bardzo wiele sympatycznych szczegółów dotyczących ówczesnego życia w naszym kraju. Ja wprawdzie urodziłam się już po wydaniu książki, ale przecież też pamiętam pewne rzeczy, które zresztą przez długie lata nie ulegały zmianie (poprawie). Na przykład taki opis: „Zjawił się kelner, przyjął zamówienie i z miną księcia, którego los zmusza do pełnienia nikczemnych funkcji, odszedł do kuchni (...) Kelner przyniósł drugie. Było – jak należało oczekiwać – wystygłe, ale cierpka uwaga Romana nie zmąciła spokoju kelnera. Spojrzał zimnym, obojętnym wzrokiem przed siebie i żonglując tacą z pustymi talerzami odszedł w głąb sali”. Tam się przydały kuchenne rewolucje! Gesslerowa by zawału dostała! Albo: „W sklepie długo grymasił, przebierał. Na szczęście nie było klientów, a sprzedawczyni okazała się przysłowiowym wyjątkiem z reguły nieuprzejmych ekspedientek. Nie skąpiła mu rad, nie gniewała się, gdy nieufnie oglądał proponowane przez nią torby”. No cóż, teraz raczej uciekamy przed takimi uprzejmymi ekspedientkami, bo czasami jak człowieka „ułapi” to wyjść ze sklepu trudno i często skołowany biedak nakupi rzeczy, których wcale nie potrzebuje. Jak to się jednak wszystko zmieniło, uwierzyć trudno. Takich miłych opisów jest w książce więcej, warto więc przeczytać, choćby po to, żeby sobie przypomnieć, jak to drzewiej w Polsce bywało.